

W wieloautorskim artykule wstępnym pt. „Głosy do Łapińskiego”
w: „Teksty Drugie” 2000, nr 5, s. 5-6.

Ja, Pan Zdzisio

I oto niespodziewanie (jakże nieobliczalne jest życie) najmłodszy z redaktorów „Tekstów Drugich” obchodzi siedemdziesiąte urodziny. Najbardziej przekorny z przekornych, najosobliwszy z osobliwych, najmłodszy z młodych, młodszy nawet od samego siebie - Zdzisław Łapiński, czyli Pan Zdzisio.

Nie zdradzę tajemnicy redakcyjnej ujawniając, że jest młodszy od samych „Tekstów Drugich”, mimo że niektórzy jeszcze pamiętają Jego udział w niemowlęcym okresie „Tekstów” (pierwszych). Ach, wspomnienia, wspomnienia! Pamiętam go z tych lat, gdy przeszedł był wówczas Rubikon strukturalizmu, minął kamień milowy psychologii i tylko z metryki, a więc z pozorów, wyglądał na człowieka dojrzałego. A jednak (jak bardzo trzeba uważać!) nie był nim celowo, będąc równocześnie zamiłowanym graczem w brydża, pracownikiem żadnym przygód, smakoszem dań i trunków wykwintnych, który tylko na pozór załatwiał drobne sprawy naukowe i miewał terminy.

Jakaż była wtedy jego sytuacja?

Chodził po kawiarniach i po barach, spotykał się z ludźmi, zamieniając słowa, czasem nawet myśli, ale epoka lat siedemdziesiątych była nadal niewyjaśniona. A jednak już wtedy, na przełomie, był sobą, a nawet więcej, osobą - Łapińskim, choć rówieśnicy, ci, którzy już się poženili oraz pozajmowali określone stanowiska, nie tyle wobec życia, ile po rozmaitych urzędach państwowych, odnosili się do niego z nieufnością.

Koledzy i koleżanki, ciotki, siostry, liczne, prawdziwe i doczepione, przyłatane, ale szczerze kochające, już od dawna usiłowały wpływać na niego, aby się ustabilizował jako ktoś, albowiem młodość i nieokreśloność jego była im niezwykle przykra, nie wiedziały, jak rozmawiać z nim, nie wiedząc, kim jest. - „Zdzisiu” - mówiły pomiędzy jednym a drugim artykułem jego - „Zdzisiu, czas najwyższy, dziecko drogie”.

I słyszałem, jak niejedna szeptała do drugiej, że jest niewyrobiony towarzysko i życiowo, i zamęczały się próżnią, jaką tworzył im w głowie. W istocie, stan ten nie mógł trwać wiecznie. Z chaosu, z mętnych rozlewisk, ze trzciny, w których brzmiały chrząszcze i chrabąszcze, przeniósł się od razu pomiędzy formy klarowne, skryształizowane i zaczął rajcować z nimi!

Aby się w miarę możliwości wyjaśnić, przystąpił do napisania książki. Pióro go nie zdradziło. Pomieścił w tekście esencję młodości, same treści niedojrzałe i sfermentowane, jedynie stylem, głosem, tonem chłodnym i opanowanym izolując je na papierze. Dlaczego, jak gdyby na przekór własnym zamierzeniom, książce dał tytuł *Norwid* (1971)? Próżno przyjaciele doradzali mu, aby nie dawał takiego tytułu i strzegł się w ogóle najdrobniejszej aluzji do norwidologii. - „Nie rób tego - mówili - niedojrzałość norwidologii to drastyczne pojęcie, jeśli sam siebie uznasz norwidologiem niedojrzałym, któż cię norwidologiem dojrzałym uzna?”. Jego położenie było tu o tyle bardziej trudne i drażliwe, o ile książka jego była trudniejsza, drażliwsza od konwencjonalnie dojrzałej lektury.

I tak debiutował w epoce, która co pięć minut zdobywała się na nowe hasła i grymasy, i konwulsyjnie wykrzywiała swe oblicze, jak tylko mogła - w epoce przejściowej.

Sam więc niepostrzeżenie przechodził zaraz potem od *Norwida* do *Przybosia*, od *Przybosia* do *Miłosza*, od *Miłosza* do *Gombrowicza*, od *Gombrowicza* do *Białoszewskiego*, od metafizyki do polityki (i z powrotem), od romantyzmu do oświecenia, od socrealizmu do modernizmu, od *Nowej Krytyki* do młodości krytycznej - przy której pozostał, tak jak stał, bo jej nigdy nie opuszczał.

Pisał o malujących, obmalowywał piszących, portretował i negliżował pisarzy, był niesforny i strofujący, a czynił to wszystko z nieprześcignionym smakiem do form małych, a problemów wielkich. Jest tajemnicą poliszynela, że nikt jak on nie zna tajemnic „Szynela” Gogola i innych wielkich pisarzy rosyjskich. Nikt jednak nie pamięta, że już dawno, dawno temu (jakże

wszystko trzeba zawsze przewidywać!) uwiecznił go Gombrowicz zapisując nieśmiertelne słowa:
„Oto kąćki ust - oto podbródek - ucho, które ongi naderwał mi Zdziś”

W.B.